LOKALNIE · OPINIA

PO WYBORACH: WOJNA POZYCYJNA, W KTÓREJ UGRAŁ COŚ KAŻDY OPRÓCZ LEWICY. JAKIE WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ?

Kacper Kita · 12 kwietnia 2024

Wybory samorządowe pokazały, że nastroje społeczne w Polsce niewiele zmieniły się przez ostatnie pół roku. W Polsce trwa wojna pozycyjna, w której nikt nie jest w stanie na razie przeprowadzić skutecznego ataku na pozycje przeciwnika. Istotnejest umocnienie się Konfederacji jako pełnoprawnego uczestnika tej rywalizacji – już zdecydowanie nie partii sezonowej. Gołym okiem widać też zamieranie Lewicy, co ma historyczne znaczenie – mówimy o ugrupowaniu, które przez 60 lat od II wojny światowej było najsilniejsze w Polsce.

PiS najgorsze ma za czy przed sobą?

Obejmujące pięć różnych poziomów władzy naraz wybory samorządowe są tyle na rozbudowane, że każdy może po nich łatwo ogłosić sukces – gdzieś się coś zawsze znajdzie. Nawet Lewica ma swoje Świnoujście. Zasadniczo sytuacja w polskiej polityce przypomina dziś jednak front wojny na Ukrainie. Po skutecznej kontrofensywie Platformy i Trzeciej Drogi, dzięki której PiS stracił władzę, trwa wojna pozycyjna – siły poszczególnych partii ostrzeliwują się z okopów. Mimo zmiany władzy oraz wszystkiego co z niej wynikło, walki o media publiczne, sprawy Wąsika i Kamińskiego, sporu o CPK i politykę klimatyczną UE, protestów rolników i branży transportowej czy działań komisji śledczych, nastroje społeczne i poparcie dla poszczególnych partii najwyraźniej nie zmieniły się znacząco od 1 października ubiegłego roku. Gdyby Polacy zagłosowali do Sejmu tak jak do sejmików, PiS miałby 195 mandatów (o 1 więcej), KO 160 (o 3 więcej), Trzecia Droga 69 (o 4 więcej), Konfederacja 21 (o 3 więcej), a Lewica 15 (o 11 mniej). Uformowałaby się taka sama większość, ciut słabsza (244 mandaty zamiast 248) – za to KO i TD do rządów bez Lewicy brakowałoby tylko dwóch mandatów (dziś dziewięciu).

Zacznijmy od PiSu jako partii, która od kilkunastu lat zajmuje centralne miejsce na polskiej scenie politycznej. Jego działacze mogą poniekąd odetchnąć z ulgą – ich wataha jak na razie nie została dorżnięta. Strata dwóch sejmików na siedem to dla partii Jarosława Kaczyńskiego wynik lepszy, niż można było się spodziewać. Przypomnijmy, że w latach 2010-14 PiS nie miał żadnego sejmiku, a 2014-18 jedynie podkarpacki. Teraz PiS przetrwał utratę władzy i stanowisk oraz najtrudniejsze dla siebie wybory bez katastrofy. 34,27% to praktycznie powtórzenie wyniku z analogicznych wyborów w 2018 r. – 34,13% – oraz z 15 października – 35,38%. 181 radnych wojewódzkich i 2080 radnych powiatowych to solidna baza do przetrwania kolejnych pięciu lat.

Jednocześnie nic nie wskazuje, by PiS miał być dziś bliższy powrotu do władzy. W kampanii widać było, że część polityków PiSu próbuje prowadzić kampanię w sposób bardziej pozytywny i dotykający życia

obywateli (hasła w rodzaju „tak dla rozwoju") zamiast straszenia Tuskiem-gestapowcem czy „nowym stanem wojennym", co przyniosło im owoce. Po niedzielnych wynikach u decydentów PiSu może jednak wrócić życzeniowe przekonanie o własnej sile oraz o tym, że „Polacy się obudzili i nie chcą Tuska", więc wystarczy czekać, aż władza sama wpadnie im z powrotem w ręce. Podtrzymuję swoją diagnozę ze stycznia – bazowym, prawdopodobnym, choć dalece niepewnym scenariuszem pozostaje przejęcie Pałacu Prezydenckiego przez obecną większość w 2025 r., a w dalszej perspektywie (jeszcze mniej pewnej, ale mówimy tylko o tym co jest bardziej prawdopodobne a co mniej) jej rządy do samodzielnego zużycia się w okolicach 2030-31. By to zmiana władzy stała się bardziej prawdopodobna, musiałaby nastąpić albo dekompozycja PiS i przebudowa układu sił na (centro)prawicowej opozycji, albo poważne odświeżenie się tej formacji.

Zobaczymy, czy te kilka tysięcy radnych, którzy właśnie zapewnili sobie byt na kolejne pół dekady, będzie lojalnych wobec PiSu, czy jednak istotna część z nich będzie próbować alternatywnych projektów albo da się skusić nowej władzy centralnej. Po przyzwoitym wyniku partii Kaczyńskiego apetyt na eksperymenty zapewne spadnie, ale pięć lat to kupa czasu – zawsze można wrócić jak nie wyjdzie. Teoretycznie PiS ma najgorsze za sobą. W tej sytuacji Tusk będzie potrzebował w ciągu najbliższego roku pozostającego do wyborów prezydenckich zintensyfikować operację „rozliczenia" oraz starać się dotrzeć do szerszego odbiorcy z przekazem o PiS-owskich aferach i nadużyciach. Na razie idzie mu to średnio – utwierdza swój bazowy elektorat, podtrzymując w nim antypisowską emocję, ale brak jakiegoś efektownego *smoking gun*, o którym nie byłoby wiadomo przed 15 października, a które zostałoby teraz wyciągnięte na światło dzienne przez komisje śledcze czy prokuraturę.

Szansa Konfederacji

Partia Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena tym bardziej ma za sobą najtrudniejsze dla siebie wybory – pierwsze tego rodzaju. Przypomnijmy punkt odniesienia – w 2018 r. Nowa Nadzieja (wówczas: Wolność) dostała do sejmików wojewódzkich 1,6% głosów, a Ruch Narodowy 1,3%. Obecne 7,23% oznacza, że Konfederacja utrwaliła swoją pozycję jako pełnoprawnego uczestnika walki na polskiej scenie politycznej.

> Każda poza Konfederacją znacząca partia powstała po 2010 r. – Ruch Palikota, Kukiz '15, Nowoczesna, Razem, Wiosna – była po analogicznym okresie pięciu i pół roku istnienia sprowadzona do roli satelity którejś z istniejących wcześniej formacji – PiSu, PO, SLD, PSLu. Także Polska 2050 ostatecznie zdecydowała się na mariaż z PSL i jego strukturami – choć na w miarę równorzędnych zasadach – zamiast budowy pełnej podmiotowości.

Owa droga budowy podmiotowości wybrana przez Konfederację jest oczywiście mozolna i niewdzięczna. Ordynacja sejmikowa ustawiająca zazwyczaj realny próg na poziomie 9-11% sprawiła, że 7,23% głosów przełożyło się tylko na 6 mandatów w skali kraju. Pozostawia to naturalne poczucie niedosytu, podobnie jak przy niedawnych wyborach do Sejmu. Teraz także kilkorgu zaangażowanym działaczom Konfederacji mimo dużej pracy mandat przeszedł koło nosa – jak w przypadku Tomasza Buczka w Rzeszowie, gdzie zabrakło ledwie 276 głosów, gdy w tym samym okręgu 4,3 tys. głosów otrzymała lista Ruchu Obrony Polski, a 10,5 tys. lista przeciwnej Konfederacji części Bezpartyjnych Samorządowców.

Konfederacja będzie miała szansę współrządzić tylko w województwie podlaskim, gdzie jej reprezentantem jest będący wolnym elektronem Stanisław Derehajło. To z jednej strony może być pewne rozczarowanie, ale z drugiej – podobnie jak w przypadku wyborów do Sejmu – pozwala zachować niewinność, uniknąć odpowiedzialności za rządzenie i tłumaczenia się z koalicji. Pozytywnie wypada ocenić kierunek w postaci otwarcia się na Bezpartyjnych Samorządowców. Tylko wciągając w swoją orbitę lokalnych aktywistów (dowolnych, byle nie byli skrajnymi lewicowcami) oraz prezentując się jako merytoryczna opcja alternatywna wobec miejscowych układów polityczno-medialno-biznesowych prawica ma szansę budować swoją siłę lokalną, zwłaszcza w miastach.

Wejście w politykę lokalną jest trudne dla początkujących. Dla mnie ilustracją tej prawdy i wspomnieniem z tych wyborów będzie historia mojego znajomego, lokalnego młodego działacza patriotycznego mocno zaangażowanego w życie swojego małego miasta, który wystartował pierwszy raz na radnego i dostał w swoim okręgu jednomandatowym *ex aequo* pierwszy wynik. Przy dokładnie takiej samej liczbie głosów zdecydowało... losowanie, które wskazało na urzędującego radnego, kandydata miejscowego burmistrza.

Wybory do Parlamentu Europejskiego za dwa miesiące są dla odmiany dużą szansą dla Konfederacji. Utrzymanie poparcia na stałym poziomie w wyborach samorządowych pozwala uniknąć pojawienia się negatywnych emocji wokół partii i efektu „straconego głosu", w historii Europy wielokrotnie morderczego dla budujących się partii alternatywnej prawicy. Teraz chwilowo na tapecie będą tematy typowo „konfederackie" – unijna polityka klimatyczna, suwerenność państwa narodowego, imigracja, relacje z Ukrainą (wobec pytania o jej członkostwo w Unii i jego konsekwencje dla Polski). Sukces w czerwcu to dla Konfederacji także szansa, by ustawić się na pozycji siły mogącej odegrać rolę w wyborach prezydenckich.

Okazja jest tym większa, że Konfederacja będzie mogła jednocześnie atakować PiS za jego politykę wobec UE oraz Trzecią Drogę, dla której to będą dla odmiany najtrudniejsze wybory. TD ma swoją opowieść na wybory samorządowe (siła i doświadczenie PSL), prezydenckie (osobista popularność Szymona Hołowni) czy parlamentarne (opcja „umiarkowana" i depolaryzacyjna wobec sporu PiS-PO). Tu takowej brak wobec wyraźnego spadku popularności unijnej polityki klimatycznej, której heroldem chciał być Hołownia.

CZYTAJ TAKŻE: Nadchodzi czas Konfederacji?

Klęska lewicy. Konfederacja na drodze Frontu Narodowego?

Wybory 7 kwietnia zapiszą się także ze względu na klęskę Lewicy. To partia, która była przez sześćdziesiąt lat od zajęcia Polski przez Armię Czerwoną do afery Rywina największą siłą w polskiej polityce pod postacią PZPR i SLD. Odziedziczyła ogromne zasoby finansowe i ludzkie. Przez dekady była obecna w niezliczonych lokalnych układach. Miała sprzyjające sobie, powstałe wskutek uwłaszczenia się komunistycznej nomenklatury media i biznes. Teraz zaś przegrała z zaczynającą od zera, startującą pierwszy raz w wyborach samorządowych Konfederacją. Dla Frontu Narodowego przez lata punktem odniesienia była Francuska Partia Komunistyczna, a Jean-Marie Le Pen początkowo stawiał sobie za cel właśnie dogonienie znienawidzonych „czerwonych". W latach 80. w końcu mu się to udało – potężni niegdyś komuniści (we Francji także byli po 1945 r. partią numer jeden) stopniowo odchodzili na margines, a narodowa prawica stawała się krok po kroku pierwszorzędną siłą polityczną. Skądinąd także dla Frontu, po-

dobnie jak dziś dla Konfederacji, kluczowym wyzwaniem było wówczas przeniesienie poparcia z poziomu krajowego na poziom lokalny oraz zdobycie swoich przyczółków.

Ta „mijanka" ma wielki wymiar symboliczny i trzeba się z niej cieszyć – w ostatnim czasie to właśnie Lewica była najbardziej antynarodową i antycywilizacyjną siłą w Polsce. Deklaracje minister Kotuly o tym, że „te wybory będą o aborcji", toporna ideologiczna propaganda oraz nachalne traktowanie Polek jakby ich główną potrzebą w życiu było puszczanie się na prawo i lewo nie przyniosły sukcesu. Parafrazując Gombrowicza – dziennik minister Kotuly wygląda zapewne „poniedziałek – aborcja. Wtorek – aborcja. Środa – aborcja. Czwartek – aborcja".

> Jak to ujął Piotr Zgorzelski – Anna Maria Żukowska kazała „wyp...ć" Szymonowi Hołowni, a teraz społeczeństwo powiedziało to samo Lewicy. Liczba wyzwań i zagrożeń przed jakimi stoi dziś Polska skutecznie odwraca uwagę od beztroskiej konsumpcji i hedonizmu jako oferty politycznej – co skądinąd ewidentnie rozumie premier Tusk, i dlatego przejął od PiSu retorykę „zapewniania bezpieczeństwa Polakom" wobec Rosji czy imigracji.

Prawdopodobnie w nadchodzącym czasie czeka nas wchłonięcie masy upadłościowej po SLD i Wiośnie przez Koalicję Obywatelską, a wtedy być może emancypacja Partii Razem. Wynik Magdaleny Biejat, ogłoszonej już wstępnie jako kandydatka na prezydenta RP, także jest sukcesem z gatunku „w krainie ślepców jednooki królem" – Biejat mimo dużej ekscytacji i wsparcia mediów po prostu powtórzyła w Warszawie procentowy wynik Lewicy z wyborów sejmowych (a nawet go minimalnie pogorszyła). W liczbach bezwzględnych Biejat zmobilizowała 67% wyborców Lewicy sprzed pół roku – dla porównania więcej, bo 71% wyborców PiSu przekonał do siebie Tobiasz Bocheński, którego kandydatura została dość powszechnie uznany za nieudany eksperyment, a Rafał Trzaskowski 92% wyborców KO. To Trzaskowski – nie Biejat, nie Bocheński, także nie Przemysław Wipler – skonsumował brak kandydata Trzeciej Drogi (która poparła obecnego prezydenta Warszawy). Gdyby dodać wyborców KO i TD z października, wynik Trzaskowskiego byłby podobny do tego Biejat i Bocheńskiego – zebrał ich 69%. Wszyscy byli w podobnym stopniu ofiarami niższej frekwencji.

Co z miastami? Prawica potrzebuje swoich Gibałów

Zasadniczym problemem dla szeroko pojętej polskiej prawicy pozostają jednak wielkie miasta. Oczywiście można rządzić wbrew nim – ostatecznie w takiej sytuacji od 2019 r. jest nawet prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan. Także Viktor Orban ma opozycyjnego burmistrza w Budapeszcie. W Polsce zjawisko to zaszło jednak wyjątkowo daleko. Nawet PiS, nawet u szczytu swojej potęgi w 2018 r., nie był w stanie wygrać w żadnym mieście mającym powyżej 100 tysięcy mieszkańców. PiS, będący od dwóch dekad jedną z dwóch najsilniejszych partii w Polsce, rządzący krajem 10 lat. Dla porównania – znów pozwolę sobie na spojrzenie przez moje francuskie okulary – nawet Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen jest w stanie wygrać i mieć swojego burmistrza w 120-tysięcznym Perpignan, choć nigdy nie rządziło na poziomie krajowym oraz jest od pół wieku najbardziej zdemonizowaną i stygmatyzowaną, „skrajnie prawicową" partią.

Problemu dotknął szerzej w kontekście Warszawy w ostatnim tekście na naszych łamach Jan Fiedorczuk.

W mojej opinii problemem jest dość szerokie przyzwolenie na słabe wyniki w dużych miastach – niezależnie od tego, jak wielka będzie porażka, mamy klepanie się po plecach i wymówkę – przecież w dużych miastach się nie da. Nie można odpuszczać miast, bo mają one wielką siłę przyciągania kulturową i finansową (to tam powstają nowe miejsca pracy). To wielkie ośrodki często kreują aspiracje mieszkańców pobliskich mniejszych miejscowości.

CZYTAJ TAKŻE: Prawica nigdy nie wygra wyborów w Warszawie. Co zatem robić?

Przykładowo w moim Krakowie przez ostatnie 20 lat przyzwyczajono się do *status quo*. Prof. Majchrowski wygrywał w II turze, zazwyczaj z kandydatem PiSu, przewagą ok. 59% do 41% – wyraźnie, acz bez deklasacji. Teraz jakkolwiek pojęta prawica obudziła się z ręką w nocniku – 21 kwietnia będziemy mieli wybór między obecnym szefem miejscowej Platformy a byłym szefem miejscowej Platformy. Kandydat PiSu – za każdym razem inny – został ogłoszony kilka tygodni przed wyborami, był dość nijaki, zdobył 19,8% – mniej nawet niż lista PiSu do Rady Miasta (23%), znacznie mniej niż kandydatka PiSu w poprzednich wyborach (31%). Kandydatem Konfederacji był ten sam polityk co zawsze, ale zdobył 5% – również mniej niż jego własna lista do Rady Miasta (6%) i aż o 1/3 mniej niż pół roku wcześniej lista do Sejmu z nim samym na czele (7,5%). W liczbach bezwzględnych wyglądało to jeszcze gorzej – Konrad Berkowicz uzyskał 14,8 tys. głosów, choć w październiku lista Konfederacji zgarnęła 37,4 tys., w tym on sam jako jedynka 24,2 tys.

Z kretesem przepadł także kandydat Trzeciej Drogi, który uzyskał ledwie 3%. Gołym okiem widać zatem, że głosy znaczącej liczby wyborców o sympatiach prawicowych i centroprawicowych zgarnął Łukasz Gibała – były poseł PO i Ruchu Palikota, który od kilkunastu lat konsekwentnie buduje pozycję w Krakowie jako niezależny polityk skupiony na mieście, ostro krytykując prezydenta Majchrowskiego. On dla porównania dostał osobiście znacznie wyższy (26,8%) wynik niż jego lista do Rady Miasta (15,6%). Choć Gibała wywodzi się ewidentnie ze środowisk liberalno-lewicowych – w tych wyborach zyskał zresztą wsparcie Partii Razem i wprowadził jej działaczkę do Rady Miasta – skutecznie zbudował sobie przez ostatnią dekadę wizerunek niezależnego, niepartyjnego, merytorycznego i pracowitego aktywisty zajmującego się sprawami miasta, a nie ideologią. Kogoś, kto jest w stanie rozmawiać z każdym środowiskiem i chętnie komunikuje się z mieszkańcami. Gibała startuje w wyborach na prezydenta miasta już trzeci raz, za każdym razem osiągając lepszy wynik. Teraz wszedł pierwszy raz do II tury i nawet jeśli w niej przegra, będzie dalej radnym i jednym z liderów opozycji. Oczywiście ma po swojej stronie duże pieniądze – jest synem milionera i przedsiębiorcą. Jego siła to też jednak konsekwencja, cierpliwość i umiejętne operowanie swoim wizerunkiem.

> Hegemonia kulturowa środowisk liberalno-lewicowych w największych ośrodkach jest widoczna gołym okiem. Głosowanie na "fajnych" polityków takich jak Rafał Trzaskowski czy Aleksandra Dulkiewicz ma wymiar statusowy. Każdy, choćby dopiero co przyjechał do danego miasta i pochodził z najgłębszej wsi, może poprzez ten rytuał przejścia poczuć się pełnoprawnym warszawiakiem lub gdańszczaninem, a także Europejczykiem i członkiem lokalnej elity.

W tych warunkach stawianie na kandydatów z innej miejscowości albo wyrazistych ideologicznie polityków krajowych prawie na pewno nie przyniesie żadnych środowiskom odwołującym się do prawicy suk-

cesu. Jeśli prawica chce osiągać sukcesy w wielkich miastach, powinna próbować raczej hodować sobie w poszczególnych środkach swoich Gibałów – ludzi koncentrujących się na polityce samorządowej, rozpoznających problemy swojej społeczności. Zdolnych cierpliwie pokazywać się jako otwarci na różne środowiska lokalni liderzy, reprezentujący dane miasto bardziej niż jakąkolwiek krajową partię, a jednocześnie mający własny charakter – nie będących miałkimi produktami marketingowymi wrzuconymi *ad hoc*, biernie kopiującymi po lewicy. Kandydatów, na których miejski wyborca o nieprawicowych sympatiach będzie w stanie zagłosować, bo będą w stanie mu zaimponować, uzna ich za kompetentnych i godnych reprezentowania danego ośrodka, a wsparcie ich nie naruszy jego poczucia przynależności do elity.

Prawica w polityce miejskiej powinna być gotowa na mądre kompromisy pozwalające budować zdolność koalicyjną i dążyć do zbierania w swojej orbicie wszystkich przeciwników zużytego *status quo*. W ostateczności też lepiej mieć swojego wiceprezydenta niż być w wiecznej opozycji. Tak jak pisał Jan Fiedorczuk – lepszy prezydent centrowy czy też w miarę neutralny ideologicznie, ale otwarty na współpracę z prawicą, niż kolejny reprezentant liberalno-lewicowego establishmentu. Pozytywnym przykładem może tu być Chorzów, gdzie prezydentem został unikający łatek partyjnych Szymon Michałek, jeden z liderów środowiska kibicowskiego, twórca Sektora Rodzinnego na stadionie Ruchu – miejscowego klubu piłkarskiego. Za pięć lat prawdopodobnie w wielu miastach długoletni prezydenci będą musieli odejść – wejdzie w życie limit dwóch kadencji wprowadzony w 2018 r. (chyba że do tego czasu zmienią się przepisy). Tego czasu nie wolno zmarnować. Lokalnych liderów trzeba zacząć kreować już teraz.

Oryginał:
https://nlad-kopia1113.instawp.site/po-wyborach-wojna-pozycyjna-w-ktorej-ugral-cos-kazdy-oprocz-lewicy-jakie-wnioski-na-przyszlosc/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć